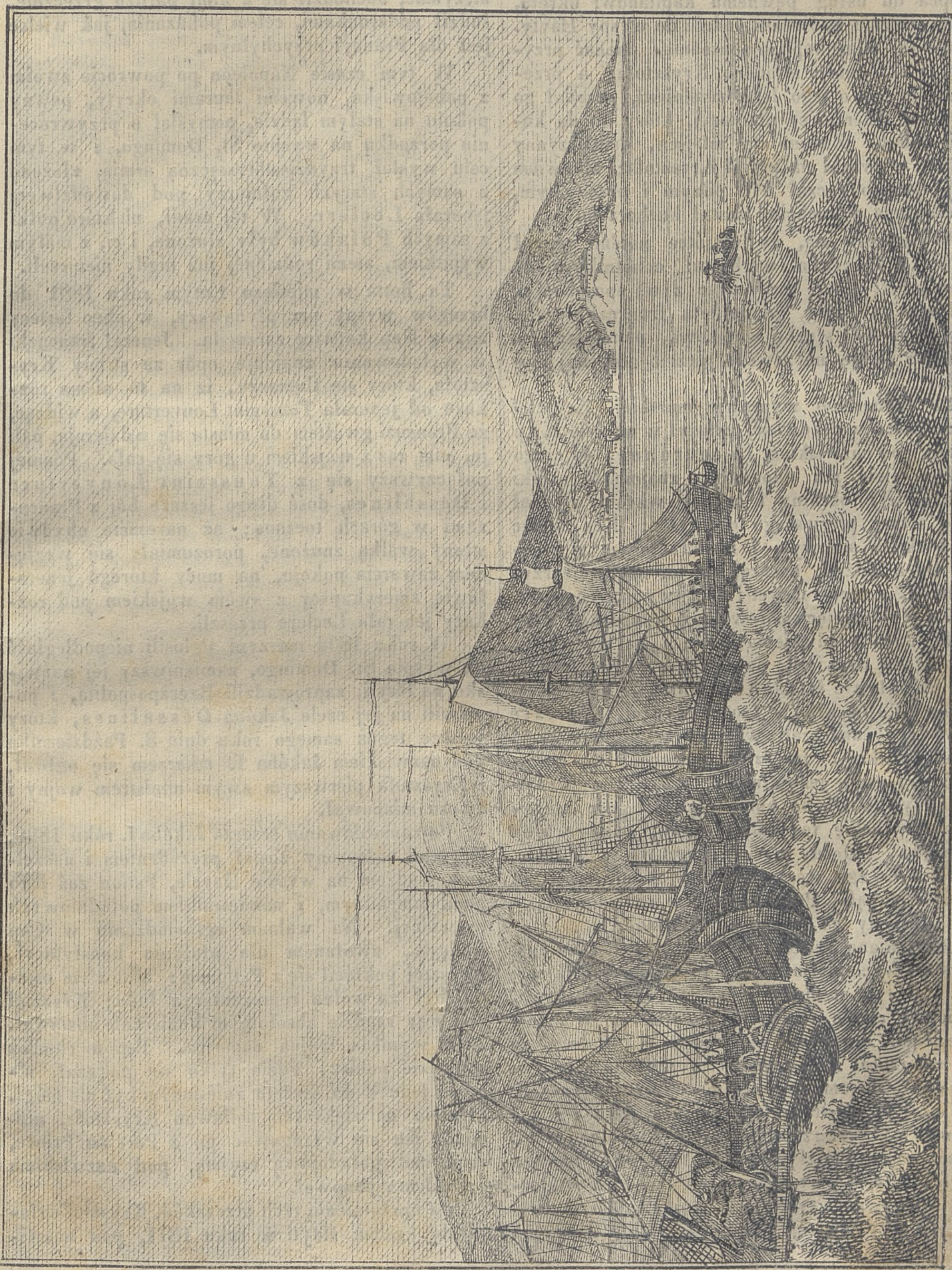
Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 30.** Leszno, dnia 28. Stycznia 1837.



Widok stolicy na wyspie Haycie, za panowania Henryka.

Niektóre wspomnienia historyczne o Krysztofie, królu na wyspie Haycie, i jego rodzinie.

Henryk Krysztof urodził się dnia 6. Grudnia 1767, na zachodnio indyjskiéj wyspie Grenadzie; będąc synem wolnych, ale ubogich rodziców, powierzony został w 11tym roku życia swego za chłopca do usług pewnemu kapitanowi okrętu, odbywającemu naówczas podróż do wyspy Hayty. W drodze miał kapitan sposobność poznać przymioty i skłonności młodego Krysztofa; a przekonawszy się o jego lekkomyślności, przedał go pewnemu dzierzawcy plantacyj, który go do kuchni oddał. Zmiana ta miéjsca, dobroczynny wpływ wywarła na umysł Krysztofa; albowiem tutaj dopiero zaczął być pilnym i pracowitym, i niezadługo z kuchcika został kucharzem.

Wydarzyło się, że wkrótce potém jenerał francuzki Bestain werbował ochotników do wojska; Krysztof korzystając z téj sposobności, udał się na brzeg, gdzie flota francuzka stała, przyjął na niéj służbę wojskową, a tém samém zrzucił z siebie na zawsze jarzmo osobistéj niewoli.

Po skończonéj wyprawie morskiéj, Krysztof porzuciwszy wojskowość, założył w mieście Kap oberzą, pod nazwiskiem la couronne, do czego bardzo wiele mu dopomogła znajomość sztuki kucharskiéj: obrotny i czynny wkrótce zjednał sobie sławę pierwszego oberzysty; lecz będąc człowiekiem surowym i nieokrzesanym w obéjściu się z ludźmi, narażał się na wiele nieprzyjemności, a często nawet i do bitwy przychodziło.

Za wybuchnięciem rewolucyi francuzkiéj roku 1789, duch rozdwojenia także i na wyspie St. Domingo się rozwinął: na czele partyi królewskiéj stali jenerałowie Biassaié, Candi i inni; przeciwnie Toussaint - Louverture, Villate Levaille zamierzali walczyć w obronie zasad republikańskich. Krysztof niewachał się zaciągnąć pod znaki jenerała Toussaint: z początku odbywał służbę bombardyera; lecz sprzykrzywszy sobie ten rodzaj broni, przeszedł do dragonów. Mężny w boju, gorliwy w służbie, wkrótce uwagę wszystkich swych officerów na siebie ściągnął. Przy pierwszém spaleniu miasta Kap widzimy go w stopniu kapitana.

Za zmianą rzeczy na wyspie St. Domingo, Krysztof wychodzi z wojska i zostaje rzeźnikiem; lecz i w tym stanie niemógł być szczęśliwszym, ponieważ ciągle złośliwy i gwałtowny w swém uniesieniu, zapominał się często tak dalece, że mięsem rzucał na kupujących; niedziw więc, że wszyscy znajomi powoli go opuszczać zaczęli. Krysztof to spostrzegłszy, porzuca jatki i z zebranego kapitaliku się utrzymuje. Niedługo jednak w téj nieczynności zostawał: wkrótce bowiem jenerał Toussaint znając jego gorliwość w służbie, mianował Krysztofa kommendantem w Petit Anse. Od téj chwili ożył on dopiero na nowo. W roku 1801 był kommendantem w mieście Kap. Na tym to urzędzie istotną swą rolę odegrywać zaczął. Tutaj to można było widzieć, jaką wzgardę, jakie lekceważenie okazywał dla białych i kolorowych; ostatni większą część ludności miasta naówczas składali. Białych officerów francuzkich starając się jak najzręczniéj względem istotnych swych zamiarów w obłędzie utrzymać, obchodził się z nimi bardzo grzecznie, łudził podarunkami, celem pokazania, jak wielce jest dla Francyi przychylnym.

W tym czasie Napoleon po powrocie swoim z pobojowiska, nowemi laurami okryty, pewny pokoju na stałym lądzie, pomyślał o przywróceniu porządku na wyspie St. Domingo, i w tym celu wysłał trzydziestotysięczną armią, złożoną z samych starych żołnierzy pod dowództwem jenerała Leclerc. W téj armii, niektóre pułki z samych Polaków były złożone, i ci, z małym wyjątkiem, ziemi rodzinnéj już nigdy nieujrzeli.

Ta flotta w miesiącu Lutym roku 1801 do brzegów wyspy przypłynąwszy, w obec fortecy miasta Kap kotwice zarzuciła. Jenerał francuzki w wylądowaniu znajduje opór ze strony Krysztofa, który się tłumaczy, iż na to niema rozkazu od jenerała Toussaint Louverture, a widząc, że Francuzi gwałtem do miasta się wdzierają, pali je, sam zaś z wojskiem w góry się cofa. Późniéj połączywszy się z Toussaint Louverture i Dessalines, dość długo jeszcze bój z Francuzami w górach toczono; aż nareszcie obydwie strony walką znużone, porozumiały się względem zawarcia pokoju, na mocy którego jenerałowie amerykańscy z swém wojskiem pod rozkazy jenerała Leclerc przeszli.

W roku 1804 murzyni ogłosili niepodległość na wyspie St. Domingo, zamieniwszy jéj nazwisko na Hayti, zaprowadzili Rzeczpospolitą, i postawili na jej czele Jakóba Dessalines, który jeszcze tegoż samego roku dnia 8. Października pod nazwiskiem Jakóba I. cesarzem się ogłosił, i Krysztofa pierwszym swym ministrem wojny i dworu mianował.

Po zamordowaniu cesarza Jakóba I. roku 1806, Krysztof ogłoszony został prezydentem i naczelnym wodzem na wyspie Haycie, Petion zaś jego podkommendnym, i namiestnikiem południowych prowincyj. Na walném zgromadzeniu w Cap français, zwołaném dla ułożenia konstytucyi, Krysztof pokłócił się z Petionem: albowiem ostatni był za wolną reprezentacyą ludu; Krysztof zaś przy rządzie absolutnym koniecznie obstawał. Ztąd wynikła wojna domowa. Petion chociaż wszędzie pobity, gdzie tylko się pokazał, nigdzie jednak do szczętu zniesionym być nie mógł. Pomimo największych usiłowań Krysztofa, nieudało mu się wyrugować go z Port au Prince, skąd nad południową częścią, pod nazwiskiem prezydenta panował.

Po uprzątnieniu tych przeszkód, Krysztof ogłosił się królem Hayti w roku 1811, pod nazwi-

skiem Henryka I. i dnia 2. Czerwca koronowany został wraz z swą małżonką Maryą Ludwiką przez mniemanego Arcybiskupa Gonzalez, bo go Papież potwierdzić niechciał. Xiążęta i xiężniczki jako członkowie familii królewskiéj, przybrali tytuł Królewiczowskich Mości. Dwór na stopę européjską zupełnie urządzono, co niemało wzgardzonym i upośledzonym niegdyś murzynom pochlebiało.

Krysztof przez tyraństwo i licznych swych przyjaciół, których podarunkami i przywilejami jednać sobie umiał, pomimo wszelkich usiłowań rządu francuzkiego, aby koniecznie tę wyspę odzyskać, utrzymał się na tronie aż do roku 1820. W tym roku od kilku miesięcy ciężką chorobą złożony, leżał w Sans-Souci, ulubioném swem letniém pomieszkaniu. Natenczas xiążę Marmelade, Gubernator stolicy, i minister wojny xiążę Limbé, korzystając z jego nieobecności, zawiązali spisek przeciw niemu. Dnia 6. Października przychodzi wiadomość do miasta, że w St. Marc wybuchło powstanie; lecz w téj chwili nikt o ogromie niebezpieczeństwa niemyśli. Nad wieczorem powstaje wielki rozruch, nareszcie za nadéjściem nocy, około 11 godziny, odgłos trąb i bębnów, zwołujący wojsko do broni, tentent koni pod uwijającemi się na ulicach jeźdzcami, przeraźliwy krzyk murzynów, na około w płomieniach plantacye, strach i trwogę dopiero między nieszczęśliwymi Europejczykami roznosić zaczynają. Stolica noc całą w tym stanie przetrwała. Nadedniem lud, pod dowództwem jednego z swych officerów, złupiwszy broń i pieniądze u pewnego kupca européjskiego, łączy się z wojskiem, staje obozem pod Haut du Cap i sprowadza armaty z miasta: to wszystko stało się w jednéj chwili.

(Koniec nastąpi.)

Dwie matki.

(Koniec.)

Mroźny grudniowy wicher, z przeraźliwym świstem, przeciskając się przez potłuczone szyby, dął gwałtownie do nędznego poddasza, w którem pracowała uboga Małgorzata. Blady i migający się płomyk lampy, miotany nieustannemi powiewy, zdawał się gasnąć co chwilę i zaledwie niekiedy blade rzucał światło na zrujnowane i z wszelkich sprzętów ogołocone mieszkanie, w kącie którego, na garści słomy, okryte łachmanami, spoczywało głębokim snem uśpione kilkoletnie dziecię. Małgorzata spojrzała na tę nieszczęśliwą istotę wzrokiem politowania i żalu. Jéj wargi konwulsyjnem drzeniem wewnętrzną okazywały boleść, a oczy z trudnością wstrzymywały łzy, żeby nieopóźnić roboty, od któréj zawisło jéj jutrzéjsze wyżywienie. „O! śpij, śpij długo!“ zawołała przerywanym głosem. „Jeszcze się dość wcześnie obudzisz, abyś wołała chleba, którego ci dać niemogę.“

Małgorzata kochała z czułością swoją biedną Łucyę; ale niedola odrętwia nasze serca, podobnie jak zimno członki; tym sposobem między matką a córką, niebyło pieszczót tkliwych, przeciwnie zaś rozmowy ich były rzadkie, a słowa pełne cierpkości i smutnego zniecierpliwienia. Pierwsza cierpiała w nadziei przyszłego lepszego życia, druga zostawiona saméj sobie, przyjmowała złe lub dobre wrażenia, jakie jéj traf lub okoliczności nastręczały. Jéj rozum naturalny niemiał żadnego przewodnika, a jéj charakter zaciemniał się pod smutnym wpływem nędzy i zupełnego opuszczenia. Biedna Łucya! a przecież była piękną; lecz piękność ta podobną była do rosy, którą deszcz nawalny brudnym piaskiem opryska, a od któréj z żalem odwracamy oczy.

Co za noc, noc straszliwa! Łucya leżała śmiertelną trawiona gorączką; niebyło nikogo, ktoby pomógł biednéj matce i udzielił ratunku; nikogo, ktoby przywołał doktora mieszkającego zbyt daleko. Musiała opuścić chorą, zostawić ją na łup boleści i obłąkania, wśród okropnych widziadeł, jakie się zwykle choremu w samotności przedstawiają; a ten, który ją miał przywołać do życia, nieprzyszedł aż dopiero nazajutrz. Przepisał jéj wprawdzie lekarstwa, pijawki i kąpiele, lecz na to wszystko potrzeba było przynajmniéj ze sześć talarów; litość chrześciańska zaledwie dwóch dostarczyła, a natura dokonała reszty; jedném słowem, Łucya została uratowaną, lecz jakże jéj powrót do zdrowia był długi, nieznośny!

Nie było zdrowego i świeżego powietrza, któreby wzmacniało jéj wycieńczone siły. Nie było żadnych zabawek, któreby zatrudniały jéj wychudłe rączęta. Chleb czarny i suchy boleśnie uciskał jéj osłabiony żołądek. Małgorzata widziała jéj cierpienia, czuła je zbyt głęboko, a jéj macierzyńska czułość tak słodka w chwilach swobody i szczęścia, niebyła dla niéj jak tylko źródłem srogiego udręczenia.

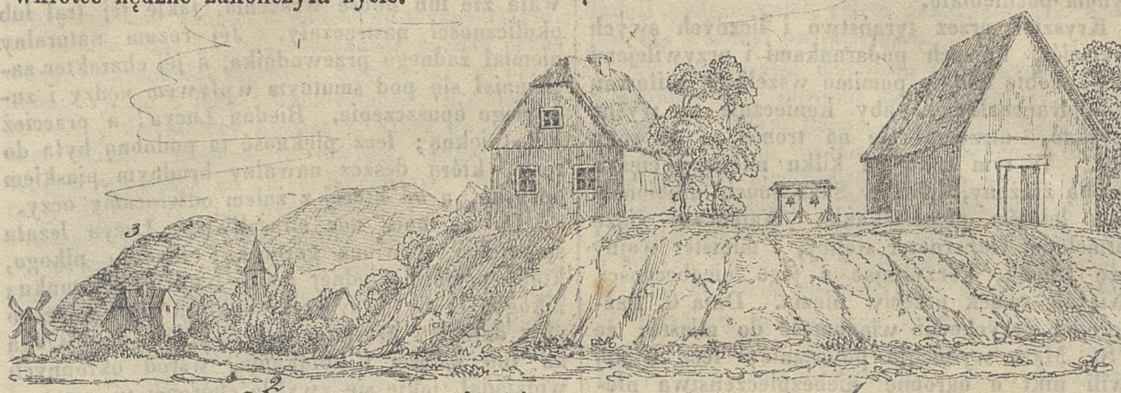
Nadszedł czas, w którym chęć strojenia się jest dla młodéj dziewczyny niezwalczoną potrzebą; w którym marzy o wielkich obchodach, o igrzyskach na zielonych trawnikach, w którym przechadzki i zabawy zdają jéj się rzeczą tak mocno zachwycającą; w którym nakoniec jéj serce szuka odpowiedniego sobie. Łucya na próżno o tém wszystkiém marzyła. Jéj piękność więdniała od ciągłéj i nieustannéj pracy; a nigdy strojów, nigdy zabaw, ani miłości. — Ztemwszystkiem dnia jednego sądziła się być szczęśliwą. Oczy pięknego i szlachetnego młodzieńca szukały jéj spojrzenia: było to w tłumie ludzi; wróciła do domu, on szedł za nią z daleka. Biedna Łucya! myślała, że będzie jego żoną. Niestety! niezostała jak tylko fawórytką.

W dwa miesiące potém, Łucya uszła z mieszkania Małgorzaty.

Strapiona matka na próżno jéj powrotu oczekiwała. Na próżno wzywała jéj w samotności.

Byłaby oddała życie swoje, ażeby ją raz jeszcze oglądać. Znalazła ją nakoniec. O boleści! Samą jednę, otoczoną fałszywym blaskiem zbytku, wychudłą, lecz upstrzonną mamiącemi pięknidłami. Ktoś jéj ją z boku pokazał, ale nieszczęśliwa Małgorzata, odwracając twarz swoję ze wstrętem, wyrzekła się imienia matki; a wylewając łzy gorzkie nad losem téj, co ją opuściła, wkrótce nędzne zakończyła życie.

Ta różnica tak uderzająca losów dwóch matek, nie jest niestety! marzeniem, ani też przywidzeniem. W dwóch stanach kobiety, podzielają mniéj lub więcéj los Pani M. albohtéż ubogiéj Małgorzaty, a ostatnich podobno nierównie większa jest liczba. Oby szczęśliwe matki wspomniały sobie niekiedy na łzy tych nieszczęśliwych, bądź, aby je pocieszyć w ich smutnych i opuszczonych siedliskach, bądź aby wyjednały u mężów, przyłożenie się do wzniesienia dobroczynnych zakładów, któreby nas uwolniły od téj okropnéj myśli, że najsłodsze i najświętsze imię matki, nie jest częstokroć jak tylko źródłem rozpaczy.



Okop przy wsi Gieczu, Grodziszczko zwany.

Giecz.

Jak wszędzie, tak i okolice przez nas zamieszkiwane, były w upływie wieków świadkami różnych wypadków, które przechodząc pamięć ludzką, obce podaniom gminnym, saméj się tylko historyi własnością stały. Czas wszystko niszczący, przemieniając ludne miasta w mało osiadłe włości, warowne zamki w zwaliska, jeżeli nie całkiem zatarł, to przynajmniéj słabe tylko zostawił dawnéj wielkości znaki. Taki widok przedstawia nam Giecz, wioska w powiecie Średzkim, a dawniéj w województwie Gnieźnieńskiém, położona blisko tego miejsca, gdzie się toż województwo z Kaliskiém i Poznańskiém stykało. Dzieje Giecza sięgają odległéj starożytności. Roku 1039 Brzetysław, xiążę czeski, syn i następca Udalryka, naszedł zbrojną ręką kraje polskie. Dla dania pozoru sprawiedliwości gwałtom, wysłał woźnego, upominając się u dozorców naówczas krajowych, o oddanie ziem zabranych przodkom swoim przez Chrobrego. Odpowiedź tychże, że to uczynią wtenczas, kiedy Czesi Polakom Pragę powrócą, rozgniewała Brzetysława. Ogłosił przeto wojnę i wpadłszy do Krakowa, zniszczył miasto pożogami i rabunkiem, skarby zaś książąt polskich, w złocie i srebrze pozabierał. Ztąd pomykał zabory swoje w głąb kraju ku Gnieznu. Kasztelanowie okoliczni z wielą włościanami, w ogólnym popłochu szukając schronienia, zamknęli się w Gieczu. Co dowodzi, iż zamek ten nietylko musiał być w ówczas mocnym, ale nawet przestronnym, kiedy mieszkańcy całéj okolicy ze swym dobytkiem, w nim pomieszczeni być mogli. Lecz i to miéjsce uległo przemocy, a lud w wielkiéj liczbie tamże zabrany, zagnano do Czech na trzebienie lasów Cirnin, i na zakładanie nowych osad. Brzetysław dał tymże pojmańcom, a nowym już Czech obywatelom, przełożonego z ich narodu, z pozwoleniem, aby się prawem polskiém sądzili. Kozmas, czeski dziejopis, który żył za czasów Bolesława Krzywoustego, to jest: około roku 1128, powiada: że ci osadnicy za jego jeszcze czasów Gieczanami się zwali. Giecz przez to stawszy się pamiętnym w historyi, może także służyć w historyi prawodawstwa polskiego jako pierwszy ślad ustaw krajowych.

Przy podziale Wielkiéj Polski między Przemysława i Bolesława, braci, roku 1247, znajdujemy Giecz jako miasto, które razem z okolicą Gnieźnieńską dostało się ostatniemu. Jakiego zaś losu doznał ów niegdyś obronny zamek, całkiém niewiadomo; lecz już za czasów Długosza, który umarł roku 1480 nie istniał. Owszem tenże historyk wspomina o wysokiéj i przestronnéj górze między Gnieznem a Poznaniem, Giecz zwanéj, na któréj stał niegdyś zamek xiążęcy, a teraz kościół jest zbudowany. Lubo wprawdzie nadaremnieby ktoś szukał w téj okolicy onéj ogromnéj góry, wyraźnie jednak z powyższego podania pokazuje się, że okop Grodziszczko, tuż przy samym Gieczu będący, zob. obrazek No. 1. jako góra do historyi Dłu-



Wesele chińskie.

gosza się wcisnął. Okop ten na błotach położony, nie tylko w dawnych czasach mógł być trudnym do dobycia, lecz dzisiaj jako dzieło ręki ludzkiéj, w każdym wzbudzać musi podziwienie. Na tymże znajduje się kościół parochialny i pomieszkanie plebana. Tutaj więc, gdzie dzisiaj świątynia Bogu poświęcona, przed ośmset laty lud zgromadzony wznosił także głos ku niebu, aby odwróciło od niego oręż wszystko niszczących Czechów. Sam Giecz także nie jest pozbawiony pomników, świadczących o jego starożytności. Któż nie spojrzy bez zdumienia na kościołek we wsi postawiony (obraz Nr. 2.). Ściany jego z ciosanych kubicznie twardych kamienni polnych wzniesione, świadczą, że już wiele pamiętają wieków, i na wiele jeszcze poglądać będą pokoleń.

Nakoniec wspomnieć mi jeszcze trzeba o śladach zameczku w lesie Dzierzchnickim (No. 3.) o $\frac{1}{8}$ mili od Giecza oddalonego, które także przez miłośników starożytności z upodobaniem oglądane być mogą. E. K.

Wesele chińskie.

U nas żenią się z miłości albo z pieniędzy: Chińczycy nieznają téj alternatywy: u nich wszystkie związki małżeńskie interes kojarzy, a małżonkowie dopiero po zawarciu nierozerwanego związku, pierwszy raz się widzą. W Europie, w wysokich domach, czasem dzieci w kolebce bywają sobie zaręczane; Chińczycy idą daléj, łącząc związkiem małżeńskim dzieci, nim się jeszcze urodzą. Dwie niewiasty brzemienne, układają pomiędzy sobą związek dzieci, które pod sercem swém noszą: wręczają sobie zadatki, jako rękojmią danego słowa, a umowa tym sposobem zawarta, jest świętą, chyba, że dzieci te jednéj są płci, lub kiedy jedno z nich umrze przed czasem: do tych koniecznych przeszkód dodają zwykle i trzecią, to jest trędy. Lecz najczęściéj rodzice nie zajmują się sami przyszłém postanowieniem swych dzieci, zostawując to staranie stręczarkom; albowiem to rzemiosło, u nas na tak nizkim zostające stopniu, do którego chyba w rozpaczy uciekamy się, w Chinach jest jedném z najważniéjszych i najkorzystniéjszych. Gdy więc takowi faktorowie i faktorki znajdą, co sobie ułożą, i gdy rodzice przystaną na ich propozycyą, wyznaczają dzień zaręczyn.

Ceremonia ta zależy na oddaniu sobie podarunków, które drużbowie przynoszą w koszach do domu. Kosz ofiarowany przyszłéj zaręczonéj powinień zawierać: owoc i pieniądze, wysypane na kupki we wszystkich czterech kątach izby;

drugi kosz, szynkę świeżą ważącą 12 funtów, a trzeci pewną ilość makaronów. Gdy huk moździerza ogłosi sąsiadom i sąsiadkom przybycie podarunków, narzeczona stawa przed wnijściem pokoju oświeconego czerwonemi świeczkami jarzęcemi; odbiera podarunki i dzieli kawałki szynki pomiędzy przytomnych. Podtenczas daje także narzeczonemu podarunki, składające się z owoców w sześciu paczkach, nadto dostaje on od swéj przyszłéj teściowéj niektóre drobnostki, mianowicie zaś ziarna korbalowe wysuszone na słońcu. Lecz te ziarna wiele go kosztują; albowiem zwyczaj nakazuje wywiązać się pewną summą pieniędzy, którą uważają jako cenę za żonę. Summa ta pomiędzy 280 do 500 franków wynosząca, musi być koniecznie wypłaconą; inaczéj bowiem młody pan żony nie dostanie. Gdy się ukończą te ceremonie, dziewosłęby radzą się astrologów, aby ci wyznaczyli dzień pomyślny ślubu: z resztą nieomieszkują nigdy wziąść z sobą kawał wieprzowego mięsa, któremby złego ducha, wyobrażanego zawsze pod postacią tygrysa, zabawić i ująć mogli, iżby tenże zajęty swym przysmaczkiem, zapominał nowożeńców i niewypłatał im jakiego figla.

W dniu umówionym narzeczona zaczyna się stroić: najważniéjszą zaś tego stroju częścią jest ogromny kapelusz, w kształcie kosza, który pokrywając zupełnie głowę, i zasłaniając figurę, spada aż po pas: tak zasłonioną w lektyce zamykają, ponieważ przestrzegają pilnie, aby nikogo nie widziała i nie była widzianą. Orszak weselny, urządzony od dziewosłębów, wyrusza nakoniec poważnym krokiem: etykieta wymaga, aby wszyscy towarzyszący wydawali jęki, płacze i smutne szlochanie.

Gdy się ten orszak zbliży do domu młodego pana, goniec pędzący z doniesieniem, co tchu krzyczy: otóż jest, otóż jest: natychmiast daje się słyszeć huk moździerzy, którym wszystkie uroczystości w Chinach bywają ogłaszane; a pan młody zamyka się jak najspieszniéj w swych pokojach. Dziewosłęby idą go szukać i prowadzą do lektyki. Tutaj powinien wynurzyć naj żywsze uczucie; otwiera lektykę ze drżeniem, prowadzi narzeczoną i sadza za stołem, sam zaś naprzeciwko niéj siada. Po uczcie, któréj tylko młody pan używa, ponieważ panna młoda zasłoniona swym kapeluszem, nie może ani kawałka do ust włożyć, małżonkowie oddalają się do sali. I to właśnie dla męża najważniéjsza jest chwila; wtedy bowiem wolno uchylić owego tajemniczego kapelusza, i po pierwszy raz oglądać wdzięki swéj towarzyszki, przekonać się, czy mu los dobrze lub źle usłużył. Lecz jakiemikolwiek jest wzruszony uczuciami, nie daje ich poznać, okazując tylko zadowolnienie. Pierwsza ta proba służy do przygotowania panny młodéj do drugiéj, daleko trudniéjszéj i przykrzéjszéj dla niéj. Potém bowiem przystępują z kolei wszyscy przytomni i cenzurują młodą pannę; każdy z nich powiada swe zdanie z taką otwartością, na jaką by się u nas podobno nikt nie zdobył: bo jak mąż udawać musi swe ukontentowanie i ukrywać, jeżeli mu się co niepodoba, tak ci mają wszelką wolność wynurzenia zdań swoich. Najczęściéj więc nadużywają danego prawa, a zwłaszcza kobiety, które dawniéj zostały od drugich wycenzurowane, teraz mszcząc się rozpuszczają swój obosieczny język. Podczas całéj téj krytyki, ofiara, którą nasz obrazek wystawia, skazana jest na głuche milczenie, jakkolwiek dotkliwe są przycinki przytomnych. Chwila ta daje powód do wielu nieprzyjaźni i nienawiści w przyszłem życiu; albowiem młoda małżonka nie omieszkuje nigdy zemścić się późniéj i oddać wet za wet. Małżeństwa Chińskie nie stoją wcale w żadnym związku z uroczystością kościelną ani polityczną. Dla dziewosłębów, dla rodziców, małżonków i gości zaproszonych, którzy co moment, za najdrobniéjszą drobnostkę drogo ten zaszczyt opłacać muszą, ślub załatwia się tak, jak każdy zwyczajny interes, spekulacya, gdzie każdy pragnie coś zyskać. Tak więc ten smutny dzień jest tylko początkiem niewoli i nędzy, którą najczęściéj kończy samobojstwo.

Zakony rycerskie.

Kawalerowie maltańscy.

(Dalszy ciąg.)

Pierwszą wojenną powinnością i celem Rycerzy Szpitalnych było, bronić pielgrzymów, towarzysząc im w drodze z portu do ś. miasta i z miasta do portu. Lecz powoli zakres ich działania rozszerzał się coraz bardziéj; sława ich wojenna wzrastała; przyczyniali się gorliwie do wszystkich następnych krucyat, i w najsławniéjszych bitwach, jakie się w ziemi świętéj z Muzułmanami toczyły, szpitalnicy równie jak Templaryusze najczynniéjszy udział mieli.

Nagradzając ich męztwo przy zdobyciu Askalonu i Gazy w 1153 roku okazane, Papież Anastazyusz W. nadał im wiele nowych przywilejów; między któremi był ten, iż zakon szpitalników nie powinien ulegać nigdy exkomunice kościelnéj; a to tak dalece, że choćby na cały kraj jaka klątwa kościoła paść miała, członkowie i poddani zakonu w tym kraju będący, za wolnych od niéj uważać się mają. Bulla ta Papiezka przyczyniła się znacznie do wzrostu pomyślności zakonu szpitalników. We wszystkich prawie krajach Europy obszerne dobra nadane mu zostały, częścią przez pobożnych królów i xiążąt, częścią przez wchodzących do zakonu członków najznakomitszych i najbogatszych rodzin.

Pomimo przysiąg i ślubów, bogactwa miały zwykły swój wpływ na zakon; rozwolniły surowość przepisów, otworzyły pole do wszystkich światowych rozkoszy, i z pokornych, ubogich sług Chrystusa i pielgrzymów, uczyniły ich r--

wiązłymi, dumnymi, i zuchwałymi panami. Odmiana ta nie nastąpiła nagle, ale się zbliżała stopniami, tak, że w pierwszym wieku założenia swojego, zakon szpitalników podzielał z Templaryuszami nieprzyćmioną niczém sławę męztwa i cnót chrześciańskich, które wtedy ostatnim ś. Bernard, i z nim świat cały przyznawał.

W ówczas też oba te zakony łączyła braterska przyjaźń, oba tylko ubiegały się o to, kto więcéj zasług w obronie ziemi ś. położy, i tym sposobem przyczyniły się najwięcéj do ustalenia w niéj potęgi chrześcian pod następcami Goffreda. Lecz wkrótce, w miarę wzrostu bogactw i znaczenia obu zakonów, zaszczepiona między nimi zazdrość, zamieniła się w najgwałtowniejszą z obu stron nienawiść, która może się policzyć do główniejszych przyczyn ostatecznéj utraty Jerozolimy przez Chrześcian.

Przewidywali to królowie jerozolimscy, a nie mając sami żadnéj nad zakonami władzy, udawali się po kilkakroć do Papieża z prośbą, aby je między sobą pogodził, zabiegając tym sposobem niebezpieczeństwu, jakieby bezwątpienia, prędzéj lub późniéj wynikło dla Jerozolimy z rozdwojenia tych właśnie, na których największa jéj nadzieja spoczywa. Za każdém takiem przedstawieniem, Papieże, ofiarując pośrednictwo swoje poróżnionym zakonom, przywodzili je na czas pewny do zgody, ale i to tylko na pozór. Nie pomogły formalne traktaty, jakby między dwóma mocarstwy, przez ich wielkich mistrzów między sobą zawarte, i przez Papieża stwierdzone. Zakorzeniona w sercu nienawiść, wybuchała za lada powodem: i do tego przyszło nakoniec, że samo spotkanie się szpitalnika z Templaryuszem czy na ulicach miasta, czy w polu, stawało się już hasłem do bitwy.

Dziejopisowie obwiniają szpitalników, iż oni pierwsi wszczęli tę nienawiść, zajrząc Templaryuszom prędkiego wzrostu ich bogactw; lubo posiadłości ostatnich nie wyrównywały nigdy posiadłościom rycerzy ś. Jana. I tak w 13. wieku; Templaryusze posiadali tylko 9000 dóbr ziemskich rozmaitéj wielkości, kiedy w tymże czasie ich przeciwnicy, po różnych krajach Chrześciaństwa 19000 podobnychże dóbr liczyli. Sława rycerska, i wpływ na dworze królów Jerozolimskich, dostarczały im nie mniéj ważnych powodów zawiści i nieprzyjaźni.

Gdy nakoniec ani pośrednictwo królów, ani napomnienia Papieżów, ani nawet usiłowania naczelników obu zakonów, nie mogły ich między sobą pojednać; po wielu cząstkowych potyczkach, postanowiono z obu stron w roku 1259 rozprawić się ostatecznie po nieprzyjacielsku, w jednéj walnéj, ogólnéj i stanowczéj bitwie. Wszystkie siły obu zakonów w ziemi świętéj, stanęły przeciw sobie na objętem szrankami polu. Bitwa była zacięstsza i krwawsza od tych wszystkich, które kiedykolwiek Chrześcianie z Mahometanami stoczyli.

Rycerze ś. Jana przemógł, i nie dając przebaczenia, wszystkich poddających się Templaryuszów bez litości wycięli, kilkunastu zaledwo życie unieść zdołało. Klęska ta nie zniszczyła jednak zawziętości zwyciężonego zakonu. Szeregi jego napełniły się wkrótce nowymi przybylcami z Europy, lecz nie czas było myśleć o zemście. Strasznie̍jszy niż którykolwiek dotąd nieprzyjaciel, zagrażał Chrześcianom w ziemi świętéj; był nim Sułtan Egipski, na czele bitnych Mameluków. — Wspólność niebezpieczeństwa pojednała oba zakony, walczyły zgodnie z nieporównaną odwagą. Przewyższająca na zbyt siła nieprzyjaciela, nie dała im odnieść zwycięstwa; miasta po miastach wpadały w moc Sułtana; lecz żadnego pierwéj nie zdobył, dopóki z broniących go ostatni Templaryusz, ostatni Johannita nie poległ; żaden nie uszedł z bitwy, żaden się jeńcem dobrowolnie nie poddał.

W roku 1291 Sułtan Egipski obległ ostatnie miasto w ręku jeszcze Chrześcian będące, Akrę, bronione ostatniemi siłami Templaryuszów i Johannitów. Kilkanaście tysięcy Mameluków poległo w czasie oblężenia, ale też i najwaleczniéjsi z obrońców zginęli. Sułtan nakoniec przypuścił szturm ostateczny. Podczas bitwy na wałach, szpitalnicy z W. Mistrzem swoim na czele, wyszli skrycie drugą bramą miasta, i z tyłu obóz szturmujących napadli. Czynność Sułtana omyliła śmiałe przedsięwzięcie; niezmieszani Mamelukowie wstrzymali niespodziane natarcie Chrześcian, którzy w téjże chwili odebrali przerażającą nowinę, że W. Mistrz Templaryuszów z resztą braci, poległ w obronie miasta, i że miasto poddało się niewiernym. Trzeba się było cofnąć lub zginąć; cofali się zatém ku morzu, oganiając się przez całą drogę otaczającym zewsząd Mamelukom, i znalazłszy u portu małą łódkę, w niéj ocalenia szukali. Nie potrzeba im było większego okrętu, siedmiu tylko rycerzy pozostało przy życiu. Mała ta resztka znacznego przed chwilą hufca, schroniła się na wyspę Cypru, będącą pod rządem chrześciańskiego xiążęcia; wzięcie Akry i klęska zakonów, którą pod murami tego miasta poniosły, położyła koniec panowaniu Chrześcian w ziemi świętéj. W. Mistrz szpitalników ś. Jana zaraz po przybyciu do Cypru, posłał rozkazy do Europy, zwołując ogólną kapitułę zakonu. Wszyscy bracia z różnych krajów udali się na wschód. Lecz zapał krucyat już był ominął. Zakon sam bez posiłków i pieniędzy z Europy, nie mógł przedsiębrać powtórnego oswobodzenia ziemi świętéj; i po dziesięciu latach przygotowań, największe dzieło, jakie mógł dokonać, było zdobycie wyspy Rodus w 1310 roku. Trzymali ją szpitalnicy aż do roku 1522, i w ciągu tego posiadania zwani byli powszechnie kawalerami czyli rycerzami Rodyjskimi, jak potém po owładaniu Malty, nazwisko Maltańskich przyjęli. Od zdobycia wyspy Rodus, zaczyna się w dziejach zakonu nowa zupełnie epoka, która mu więcéj od pierwszéj nieśmiertelnéj sławéj zjednała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Polowanie na niedźwiedzie.

Znajomy jest wielu Czytelnikom sposób polowania na niedźwiedzie w Litwie i krainach niegdyś do Polski należących. W Finlandii z długim oszczepem polują na nie, a zwierz rozjadły nieraz rozszarpie swego przeciwnika, jeżeli tenże za pierwszém pchnięciem nie zada mu śmierci. W Sabaudyi zapuszczają się aż do legowisk niedźwiedzi, i drażniąc je wywołują przeciw sobie. Niebezpiecznym bardzo jest takowy rodzaj polowania; albowiem jeśli myśliwiec nie ugodzi zwierza śmiertelnie, w chwili, gdy tenże na tylnych powstaje łapach, i zbliża się ku niemu, niechybnym i okropnym zgonem śmiałość swoję przypłaci. W Rossyi tak na niedźwiedzie polują: chłop, a nawet często chłopczyk czternastoletni, udaje się do kniei i to z nożem jedynie, mało co większym od zwyczajnego, lecz mocno wyostrzonym. Skoro z dala ujrzy niedźwiedzia, natychmiast rzuca się na ziemię, udając trupa, i czeka na przyjście zwierza. Nadchodzi niedźwiedź, i tu dopiero zaczyna się położenie najokropniéjsze dla myśliwego. Niedźwiedź zaczyna rozpoznawać, czyli w istocie umarłego ma przed sobą, którego jak wiadomo, natychmiast odstępuje. Wącha, słucha u wszystkich otworów, ust, nosa, uszu, czyli nie odkryje jakiego znaku życia. Ileżto męztwa, zimnéj krwi potrzeba, ile wytrwałości, jakiéj niesłychanéj mocy nad samym sobą! aby w ciągłéj utrzymać się bezwładności; jedno bowiem odetchnienie, jedno zadrgnienie powieki, zgubą, śmiercią, byłoby dla niego. Leży więc jak kamień z nożem w ręku, i wtenczas dopiero, gdy miarkuje, że w serce samo pchnąć może, ugadza go silnie — zwierz z rykiem upada, a zuchwały myśliwiec wstaje zwycięzcą, i niebaczny na bliskość może innych niedźwiedzi, śpiesznie zwierza swego ze skóry obdziera, i jako zdobycz unosi. Podróżujący cudzoziemcy dziwią się nieraz, słysząc o takiém zuchwalstwie i lekceważeniu własnego życia dla marnego zysku, nie przynoszącego na miéjscu nad trzynaście, a często i dziewięć tylko złotych polskich. Lecz jakże się zdumieją, dowiedziawszy się, że ani ojcowie, ani matki, nie troszczą się o los polującego syna; ile bowiem najstarsi ludzie zasięgnąć mogą pamięcią, żaden myśliwiec nie uległ nieszczęściu; wszyscy zwycięzcami wrócili. T. M...

Przysłowia.

Co się prędko rozznieci,
Nie długo świeci.

Od lekkich materyałów palnych, jakoto słomy i t. d. przeniesiono to zdanie na ludzi, którzy ni ztąd, ni z owąd, nabywają majątku i nagle błyszczą. O takich ludziach, nie wróżąc im dłuugiéj pomyślności, mówi wieśniak: „Co się prędko rozznieci, nie długo świeci.“

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)